



Natalia Turczaninowa, Jelena Byczkova

"Śnieżny tygrys"

Fahrenheit Crew

Miękkie płatki śniegu, kręcąc się powoli w świetle ulicznych latarni, padały na jezdnię. Białe płatki, podobne do cichych, nocnych motyli... Śnieg zawsze był pożądanym dodatkiem do miejskiego krajobrazu i mojego romantycznego nastroju – czas śnieżnych ogrodów i cichych wieczorów.

Ale teraz wszystko jest zupełnie inaczej. Nie ma ażurowych śnieżynek, tańczących dookoła latarni. Nie ma niczego. Nawet nieba nie widać w tej szalonej zamieci. Śnieg i wiatr jakby zwariowały, współzawodnicząc w jednym jedynym dążeniu – zwalić mnie z nóg, ogłuszyć, oślepić, pogrzebać w białych zaspach.

Brnąłem na oślep.

Podtrzymywało mnie tylko instynktowne pragnienie – utrzymać się na nogach. Jeśli upadnę, to już się nie podniosę. Zmarzłem śmiertelnie, zmęczyłem się niemiłosiernie, ale śnieżycą, która zrzuciła w przepaść mój namiot, musiała dokończyć zaczęłą pracę i bawiła się mną już kilka godzin. Najpierw tylko leciutko popychała w plecy, rzucając w twarz garści kłującego śniegu, potem zakurzyła po bezkresnych zaspach, zawyla mocniej, zbijając z nóg. A dalej ta gra jej się sprzykrzyła. Runął śnieg zwartą ścianą i w głuchej ciemności ostatecznie zgubiłem drogę. Wcześniej czy później... nie wystarczy mi sił do zrobienia jeszcze jednego kroku. Znów nasza zdradziecka myśl o słodkim spokoju i miękkości tych zasp. Trzeba tylko zamknąć oczy i pozwolić wiatrowi ostrożnie ułożyć się w głębokiej, śnieżnej pościeli. Nogi jak ołowiane, rękawiczki zniknęły razem z namiotem i już od dawna nie czuję rąk.

Śnieżne motyle krążą dokoła ulicznych latarni.

Wielka ulga, prawie błogość, spłynęła na mnie, kiedy zrozumiałem wreszcie, że nie ma sensu walczyć dalej i sił też już nie odzyskam. Kolana ugięły się i upadłem powoli w głęboki śnieg jak w puchowy piernat, żeby usnąć. Gdzieś daleko huczał wiatr, przed oczyma kręciły mi się nocne motyle, a pyłek z ich skrzydeł zasypywał moje zmęczone, zamarzające ciało.

Obudziłem się, od razu sobie uświadamiając, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Niski, groźny ryk jeszcze bulgotał mi w gardle, a ciało naprężyło się do skoku, który wyrzucił mnie ze świata snów. Po chwili ryk zamilkł samoistnie, a sierść, podnosząca się na dolnej części grzywy, opuściła się. Słoneczny promień, ślizgający się po dnie jaskini, podkraść się do samych łap i leżał na ziemi niebieskawym, cienkim pasem. Było ciemno i cicho, tylko delikatnie szeleściła sucha trawa pod moim ciałem.

Sen... Sen, który ostatnio śnił mi się zbyt często. Napinając i rozluźniając wszystkie mięśnie, leniwie przeciągnąłem się, a potem powoli skierowałem się do wyjścia. Przez noc znów je zasypało, ale śnieg z łatwością poddał się łapom i w oczy uderzył snop porannych promieni. Trudno było powstrzymać się od zachwyconego prychania. Potrząsałem głową, strząsając resztki puszystego śniegu z uszu, i wyskoczyłem na spotkanie poranka.

Stąd, z wąskiego gzymsu, otwierał się niesamowity widok na zaśnieżony świat. Ostre zęby skał wbijały się w olśniewająco błękitne niebo. Góry, śnieg i niebo były i są moim światem – i moim domem.

Zacząłem schodzić, ostrożnie stąpając po wąskiej, kamiennej ścieżce. Nocą przeszła zamieć i odciski moich łap miarowo pojawiały się na świeżym śniegu. Skacząc z kamienia na kamień, jak zwykle płątałem ślady, chociaż szczególnej konieczności w tym nie było – przyzwyczajenie.

Zrobiło się wyraźnie cieplej i zamarłem na sekundę, złapawszy w powietrzu ścieżkę zapachów z doliny. Pachniało karibu. Jelenie pasły się zupełnie blisko, wyrывая spod śniegu ubiegłoroczną trawę. W zamyśleniu oblizałem się, ale w tym momencie wiatr zmienił kierunek i nowy zapach znów nieprzyjemnie uderzył w nozdrza. Czułem go już od kilku dni i dziwnie mnie wzburzał, a czasem doprowadzał do wściekłości. Lekko gorzkawy, ostry zapach dymu.

Zboczyłem z codziennej ścieżki, skierowałem się w jego stronę i natychmiast, po sam brzuch, zapadłem się w śnieg. Trzeba było skakać – widowisko nie przysparzające mi dostojęstwa. Skok, lądowanie z wysoko uniesioną głową, żeby nie wbić się nosem w śnieg, i znowu skok. Porządnie się zmęczyłem, nim wydostałem się na twardą ziemię, a śnieżna równina z tyłu okazała się zryta, jakby przebiegło po niej stado karibu.

Dym nadal prowadził mnie i wkrótce zobaczyłem mały, osłonięty skałą plac. Krzątała się na nim ludzka figurka, obok niej puszyste kłęбки na śniegu – psy – i jeszcze coś, ciemnego i nieruchomego, czego nazwy nie znałem. A w centrum obozu źródło dymu – ogień. To znaczy: jeszcze nie ruszyli dalej, i zamieć też ich nie przstraszyła.

Szorując brzuchem po śniegu i starając się trzymać strony zawietrznej, podkradłem się bliżej. Wyraźniej zapachniało psami, mokrą skórą, dymem i jeszcze czymś, od czego poczułem dziwne podniecenie i strach. Najlepsze, co teraz można było zrobić, to odejść stąd, ale ciekawość wzięła górę. Podpełzłem jeszcze bliżej, wiedząc, że biała sierść doskonale zlewa się ze śniegiem. Teraz plac znajdował się tuż obok.

Psy, nie wyczuwając mnie, gryzły się o miejsce przy ognisku. Człowiek w dziwnej odzieży (omal nie pomyliłem jej ze skórą!) z futra w skupieniu rozłupywał kawałki drewna. Podpełzłem jeszcze bliżej i zobaczyłem na śniegu okropny, znajomy przedmiot – strzelbę. Wydzielając odrażający zapach metalu, stała oparta o wiązkę drewna. Ledwie powstrzymałem podchodzący do gardła ryk, wspominając ostry ból, ogłuszający grzmot i błysk. Przypomniałem też sobie, jak haniebnie uciekałem, śmiertelnie przestraszony, zostawiając na śniegu plamy krwi. Jak bolała przednia łapa i jak długo się goiła.

Człowiek nagle wyprostował się, widząc drugiego, wychodzącego z namiotu. Ten coś powiedział, więc nadstawiłem uszu.

– Dzień dobry, Steve.

– Dobry. Nadal chcesz iść dzisiaj w góry? Nie rozmyślałeś się? Mogą być lawiny.

– Nie – beztrząsco odezwał się drugi, przysiadając się do ogniska. – Mimo wszystko chcę spróbować.

– Nie rozumiem cię, Paul. Czego szukasz w tych górach? Przecież nie jesteś myśliwym.

Człowiek nazwany Steve'em zawiesił nad ogniskiem kociołek napełniony śniegiem i przysiadł obok Paula. Ten zapytał z uśmiechem:

– A ty nadal nie pozbyłeś się nadziei pojmania swojego tygrysa?

- A ty nadal uważasz to za wymysł? Widziałem go na własne oczy, tak jak ciebie. Ogromne zwierzę czysto białego koloru.

- Z błękitnymi oczyma? - roześmiał się Paul.

Steve z rezygnacją wzruszył ramionami i zajął się plecakiem.

- Nie wierzysz, a przecież sam słyszałeś opowiadania o tym, jak obchodzi on pułapki i wykrada przynętę. I ani razu nie skusił się na zatrute mięso.

Teraz ramionami wzruszył Paul.

- Wydaje mi się, że to miejscowa legenda. Nie przeczę, bardzo piękna; o gospodarzu gór. W dżungli byłby lampartem, w morzu potworem. Tu tygrysem, do tego białym.

- Trudno. Uwierzysz, kiedy przyniosę jego skórę.

„Mam nadzieję, że nie przyniesiesz” - mruknął Paul tak cicho, że usłyszałem tylko ja.

- Kawa gotowa. Zjemy śniadanie.

Póki jedli, szybko sprawdziłem jedną z moich kryjówek, gdzie ostatnio zakopałem coś w śniegu i - jak się okazało - do moich zapasów jeszcze nikt nie dotarł.

Kiedy wróciłem, obóz był pusty. Ani psów, ani ludzi. Nie mogło być lepiej! Ostrożnie węsząc nieznane i dziwnie znajome zapachy, wszedłem na udeptaną ziemię. Pierwsza sprawa - plecak. Już dawno czułem do niego sympatię, bo bardzo uwodzicielsko pachniał. Leżał na kamiennym występie, dość wysoko, ale podskoczyłem parę razy, zaczepiłem łapą i ściągnąłem go na dół. Rozerwałem wiązanie, wsunąłem głowę i uchwyciłem pierwsze, na co natrafiłem - wielki kawałek czegoś ostro i przyjemnie pachnącego, białego koloru, z dziureczkami jakby wygryzionymi przez myszy. Smak mi się spodobał. W poszukiwaniu czegoś podobnego przewróciłem plecak na bok. Białego i dziurkowanego więcej nie było, ale za to znalazły się jakieś czarne ziarna o silnym i gorzkim zapachu, i coś drobnego, podobnego do śnieżnej kaszy, bardzo słodkiego. Ziarna rozsypałem, a kaszę kilkakrotnie liznąłem. Jeszcze było dużo twardych, zimnych przedmiotów pachnących żelazem, kawałek suchego mięsa i niezwykle interesująca, przezroczysta sztuka, zwężająca się z jednego końca. Bulgotał i przelewał się w niej bursztynowo przezroczysty płyn. Przeciągnąłem po tym łapą, kombinując, jak dotrzeć do zawartości, potem wziąłem w zęby i przeniosłem do namiotu, obok którego poniewierało się trochę kamieni. Zamierzyłem się i stuknąłem o kamień wąskim końcem, ten ułamał się i płyn wyciekł na śnieg. Pachniał dziwnie, wywołując wstręt i zarazem chęć spróbowania. Liznąłem raz, drugi... Płyn palił język i przyjemnym ciepłem rozlewał się w brzuchu. Łapiąc smak, wylizałem wszystko bez reszty i poczułem się trochę niezwykle. W głowie kłębiła się lekka mgła, śnieg pod łapami się kołysał i wewnątrz gościło bardzo przyjemne uczucie, podobne do delikatnego łaskotania. Chciało mi się skakać jak głupiemu kociakowi i chwycić własny ogon. W figlarnym nastroju do końca wypatroszyłem plecak i zajrzałem do wnętrza ciemnego przedmiotu wyższego ode mnie. Okazał się złożoną ze skór jaskinią - nie było tam nic interesującego, tylko kilka długich kawałków ludzkiej odzieży. Wylazłem z niego i dokończyłem to, co zacząłem - ściągnąłem kociołek i zakopałem w białym puchu niedaleko obozu, podarłem psią uprząż, z przyjemnością wytarzałem się w śniegu, na który wylał się „wesoły” płyn. Na koniec, po zastanowieniu, wyciągnąłem z namiotu wszystkie „skóry” i odciągnąłem na drugi koniec placu. Kończąc dzieło, obejrzałem zniszczony obóz i dumnie oddaliłem się, zadowolony z siebie.

Steve miał rację – nie było sensu ryzykować, ale nie mogłem się doczekać, by wypróbować nowy ekwipunek. Dlatego zacząłem wspinaczkę od dostatecznie łatwego występu niedaleko od miejsca postoju. Ten jednak okazał się łatwy tylko z wyglądu; nieźle się spociłem, zanim wlałem i przysiadłem, by złapać oddech, na naturalnym kamiennym proźku, chronionym od wiatru skałą.

Wokół leżał śnieg. Chyba nie było teraz nic wspanialszego dla mojej duszy od tej bezgranicznej, zaśnieżonej przestrzeni, iskrzącej się w jaskrawym wiosennym słońcu. Wspaniały biały świat, gdzie nie ma miejsca dla człowieka.

Wydostałem z wewnętrznej kieszeni notes i spróbowałem szkicem ołówkowym przekazać dziwne piękno tego miejsca. Załomy niedostępnych skał, bielejące wiecznym śniegiem, i czarne wąwozy... Zafascynowany rysowaniem, nie od razu poczułem na sobie uważne, studiujące w napięciu spojrzenie. Ostrożnie, unikając gwałtownych ruchów, obejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem. Powtórzyło się to kilkakrotnie – wyraźne odczucie czyjejś obecności, badawcze spojrzenie i nikogo za plecami. Mimo woli przypomniały mi się barwne opowieści Steve'a o miejscowych zjawach i białym tygrysie – dziwnym stworzeniu, ni to wilkołaku, ni to mitycznym „gospodarzu” tutejszych gór. Czasami wierzyłem w niego, czasami nie, ale od początku współczułem zwierzęciu, które na pewno zostanie zabite z powodu pięknej skóry.

Cóż to takiego?! Zdecydowanie ktoś mnie obserwuje. Znów przebiegłem wzrokiem po śniegu i czarnych paskach ogołoconego kamienia. Bez rezultatu, ale, już odwracając głowę, kątem oka zauważyłem delikatny ruch, jak gdyby drgnął jeden z kamyków. Czując, że zasycha mi w gardle i serce zaczyna bić gwałtownie, odwróciłem się.

Leżał zaledwie kilka metrów ode mnie, jego futro, śnieżnobiałe w czarne pasy, całkowicie zlewało się ze śniegiem i kamieniami. Ogromny biały tygrys. Za nic bym go nie zauważył, gdyby nie zdradził się, poruszając delikatnie uchem z czarnym paskiem. Biały tygrys... Z błękitnymi, jasnobłękitnymi jak niezapominajki oczyma. Z zapartym tchem patrzyłem na niego i nie mogłem oderwać spojrzenia od tych zadziwiających oczu, w których świeciło coś niebywałego – zwierzęca mądrość.

Niesamowite! Jednak istnieje!

Tygrys nagle przywarł do ziemi, sprężył się, jakby przygotowując się do skoku - i głucho zawarczał. Nie ruszałem się, wiedząc, że może rzucić się na mnie, ale nie spuszczałem z niego wzroku. Wtedy podniósł się, powoli cofnął, postawił przednie łapy na kamieniu ledwie wystającym ze skały i znów zamarł, teraz już w pełnej krasie. Ogromne zwierzę. Gospodarz ośnieżonego świata. Stał kilka chwil, jakby niezdecydowany, badając szczyty gór i równocześnie obserwując mnie kątem oka, a potem odwrócił się i ruszył w górę kamiennego ospy. Przez jakiś czas widziałem jeszcze ciemne pasy na jego skórze, a potem biała sierść zlała się ze śniegiem, jakby rozpułnął się w chłodzie i majestacie gór. Dopiero wtedy podniosłem notes, który spadł mi z kolan.

Dziwne uczucie. Słyszałem, jak skrzypi śnieg pod nogami, widziałem lodowate odbłaski dalekich szczytów, ciemne plamy drzew w dolinie, i czułem dziwną pustkę w sobie. Spóźniony strach? Po raz pierwszy w życiu poczułem się słaby, absolutnie bezradny, zależny od woli dzikiego zwierzęcia, które mogło zabić jednym uderzeniem szponiastej łapy. A on leżał i patrzył na mnie z wyrazem władczego spokoju – prawie pychy – w błękitnych oczach. Po tym niespodziewanym spotkaniu już prawie uwierzyłem w mistyczną naturę wspaniałego zwierzęcia. Tylko cienie albo zjawy umieją tak bezszelestnie pojawiać się i tajemniczo zniknąć. Opowiem Steve'owi o nadludzkiej mądrości błękitnego spojrzenia, o srebrzystym lśnieniu puszystego futra ozdobionego strzałami ciemnych pasów. I o zapachu whisky, który od pewnego czasu wyczuwam w mroźnym powietrzu?...

Steve wybiegł mi na spotkanie, zasapany i mocno wzburzony, wymachując resztkami psiej uprząży.

- A nie mówiłem! Nie wierzyłeś!.. Przecież mówiłem!

- Steve, co się stało?

Wyrównał oddech i machnął uprzężą w stronę obozu. Ale już sam widziałem, że wydarzyło się tam coś dziwnego. W śniegu poniewierały się puszki konserw, resztki plecaka i psiej uprząży; namiot przekrzywiony, psy rozpaczliwie rwały się z uwięzi i w ich złośliwym szczekaniu wyraźnie wyczuwało się przestraszone popiskiwanie. Nawet przywódca zaprzęgu, Wilczek, mój wielki przyjaciel i niezwykle mądrała, w stanie bliskim hysterii ochryple ryczał i szczyrzył zęby.

- Co tu się stało? Co się dzieje z psami?

- Tygrys! Tygrysa zwęszyły! Był tu! Niczego się nie boi, łajdak! Zżarł cały ser i wychlipał whisky!

Napięcie i chłód ostatnich chwil, nagle mnie opuściły i roześmiałem się. Steve się wściekł.

- Śmieć się! Przestaniesz, jak popatrzyś na jego ślady!

W głębokim śniegu obok namiotu wyraźnie odbiły się dwa ślady ogromnych łap. Spojrzałem na nie i serce mi zamarło. Tygrysie ślady wywołują zupełnie inne wrażenie, kiedy widzisz je obok swego domu, a nie w gęstwinie lasu.

- Co za olbrzym! Będzie miał ze trzy metry, jak nie więcej – określił Steve, spoglądając mi przez ramię.

Żyłka myśliwego znów pokonała w jego duszy strach wobec nadprzyrodzonego, i tygrys z gospodarza gór znów przekształcił się w przyszłe trofeum. Nagle poczułem wstręt – do Steve'a, do jego strzelb, pułapek i pozostałych narzędzi mordy, słysząc, jak mówi o wspaniałym zwierzęciu niczym o mrożonej rybie, oceniając jego siłę i zręczność w metrach i kilogramach. Ale nie odezwałem się słowem, a on tymczasem chodził po obozie i obliczał straty.

- Uprząż podarta... Zobaczysz, teraz tak się przyzwyczai... Kociołek ściągnął... Rozzuchwali się, spokoju nie będzie.

Podszedłem do Wilczka i usiadłem obok na pniu. Pies trochę się uciszył, kiedy usłyszał mój spokojny głos, życzliwie machnął ogonem i wbił się nosem w moją dłoń.

- Jak myślisz, Wilczku, po co mu kociołek?

Nie odpowiedział, spojrzał tylko mądrymi, skośnie oprawionymi oczyma i wdzięcznie się oblizał, czując kawałek chleba w mojej kieszeni.

Niebieskawe cienie stopniowo ciemniały, wydłużając się, śnieg delikatnie poróżowił, ale zimowa zorza prędko się dopaliła i granatowy zmierzch rozpląnął się nad ziemią. Znacznie się ochłodziło i nawet niebo jakby zastygło, zlodowaciało.

Naciągnąłem kaptur i przysunąłem się bliżej ogniska. Steve spojrzał na mnie opiekuńczo i powiedział:

- Z piętnaście stopni, nie mniej.

W jego ocenie nadal pozostawałem mieszcuchem, a moją pasję alpinizmu uważał za zachciankę,

fanaberię, zajęcie niewarte czasu i pieniędzy. Prawdopodobnie odczuwał nawet pewnego rodzaju przewagę, opowiadając mi o przebiegłości tygrysa, bo według jego wyobrażenia mogłem go widzieć tylko na obrazku.

- ...stawia się także pułapkę. Tylko trzeba do drzewa łańcuchem przywiązywać, inaczej zniknie wraz z nią. Używa się trutki. No i z psami... Tylko to chytra bestia. Zdarza się, że myśliwy idzie jego śladem - Steve wziął kijek i zaczął kreślić na śniegu drogę wymagowanego tropiciela - a on zajdzie z tyłu, sam zacznie iść za myśliwym i tak trwa to dłuższy czas. A bywa też, że zalegnie gdzieś, podpuści bliżej i rzuci się.

- Steve, jak myślisz, po co on przychodził do obozu?

Ten rzucił kijek w ognisko i przybrał zagadkowy wyraz twarzy.

- Sprawdzić. Popatrzeć, jak i co.

Widocznie nocny chłód i ciemności działały na Steve'a inaczej niż na mnie. Też przysunął się bliżej ogniska, ale jego ciarki nie pochodziły z lodowatego wiatru. Świat duchów, niewidoczny dniem, nocą nagle przybliżał się i zlewał z pustynnym światem zaśnieżonych gór. Biały tygrys przekształcał się w nieuchwytną zjawę, niepozostawiającą śladów na śniegu. I tylko ognisko swoim magicznym kręgiem chroniło nas od narzucającej się ciemności.

Drgnąłem, bo nawet nie zauważyłem, kiedy znów pozwoliłem się zauroczyć śnieżnej dolinie, wierząc w jej czar, czując się prawie prawdziwym mieszkańcem lasu, któremu wybaczają się wiary w duchy i zwierzęta-wilkołaki.

- Steve, jak myślisz, czy to jest ten sam tygrys?

- Innego nie ma. Ślady - o! - Steve rozcapierzył palce, imitując rozmiar tygrysięgo tropu. - A kociołek wiesz, gdzie znalazłem? W śniegu pod skałą. Zakopał, łajdak.

Uśmiechnąłem się, oceniając swoiste poczucie humoru tygrysa i zapytałem, chociaż już w przybliżeniu znałem odpowiedź:

- A nie żał ci go?

Steve odrzucił kaptur, żeby wygodniej było patrzeć na mnie, i powtórzył:

- Żał?

- No, tak. Piękne, mądre, silne zwierzę, a chcesz je zabić.

Popatrzył na mnie tak, jakby już dawno odgadł wszystkie moje podstępny, i nie pozwolił się zbić z tropu.

- Nie zrozumiesz tego, Paul, ponieważ nie jesteś myśliwym. Ty marzysz o wspinaczce na Smoczy Kieł. Ekwipunek sprawiłeś sobie znakomity, oblażyłeś wszystkie urwiska dokoła, zachwycasz się. Prawdopodobnie nawet śnisz o tym. Tygrys dla mnie jest tym, czym dla ciebie skała. Chcesz udowodnić sobie, że będziesz w stanie ją pokonać, a ja sobie, że przechytrzę pasiastego rozbójnika.

Popatrzyłem z przekąsem na mężczyznę, porównującego moją namiętność do wysokości i ryzyka z jego namiętnością do mordy, i powiedziałem z nieoczekiwaną u siebie złośliwością:

- A ja go dzisiaj widziałem.

- Coś podobnego!? - Steve nawet wstał. - Gdzie?
- Tu, na tym urwisku.
- Białe? - zapytał szeptem, wybałuszając na mnie oczy, jakbym się przekształcił w białego tygrysa.
- Białe.
- Niech to diabli! - Zapuścił palce w swoją gęstą czuprynę. - Strychninę by... No dobrze, dosięgnę go z ambony.

Mógłbym powiedzieć, że tygrys leżał nie dalej niż metr ode mnie i w jego oczach nie było niczego oprócz szczerej ciekawości. Tym bardziej nie było to krwiożercze, mściwe i perfidne zwierzę, jakie opisywał Steve, bo nie wypuściłoby mnie z tego urwiska. Wstałem i w milczeniu skierowałem się do namiotu, odprowadzany zdziwionym spojrzeniem Steve'a, który nadal nie rozumiał, co mnie ugryzło.

Motyle... Znow śniły mi się lodowate motyle, chłód i śnieg. I znow umierałem, wpadając w białą pustkę.

Patrzyłem prosto w oczy tego człowieka. Długo, tak długo, że łapy mi omdlały. Nie mając siły, by się poruszyć, mogłem tylko patrzeć. W jego źrenicach nie było strachu i nie pachniał strachem, tym rozdrażniającym, ostrym zapachem, wyzwalającym we mnie jedno pragnienie - skoczyć i chwycić. Był spokojny i nieruchomy, tylko te oczy, odbijające światło granatowych gór, patrzyły w moje... I nagle ogarnął mnie lęk. Tak wielki, że położyłem uszy po sobie i - czołgając się na brzuchu po śniegu - popęzłem w górę ścieżki. A on siedział nadal, lekko pochylony do przodu.

Nie wiedziałem, czego się wystraszyłem. Może jego dziwnego, uważnego spojrzenia? Na krótką chwilę wydało mi się, że mogłem być człowiekiem, który siedzi na kamieniu i patrzy w oczy tygrysa. I to było straszne. Czy przestraszył mnie jego zapach, niepodobny do żadnego z doliny?...

Obudziłem się, ale nadal leżałem nieruchomo, patrząc na niego, i zdawało mi się, że obserwuję z boku, z daleka, nieruchomą postać człowieka i zwierzęcia wyciągniętego na ziemi. Odniosłem wrażenie, że zgubiłem część siebie i poszła ona razem z tym człowiekiem. Prawdopodobnie on wiedział, jak mi ją zwrócić, błędzącą po nocy w lodowatej zamieci, wiedział też, jak odpędzić sny.

Powinienem go odnaleźć. Człowieka z dziwnymi oczyma, które się mnie nie boją.

Śnieg znowu padał całą noc. Gęsty, miękki, cichy. Leżałem w namiocie i słuchałem, jak zasypuje dolinę, góry, cały świat. Wygładzi ślady naszego rwetesu przy obozie, wyrówna głębokie pasy, pozostawione płożami sań, przykryje namiot. Czułem się tak, jakbym leżał pod białą, ciepłą kołdrą. W tym śniegu tonęły dźwięki, zacierały się odległości i głęboki spokój rozlewał się po ziemi razem z ciszą.

Raz poruszył się niespokojnie leżący w moich nogach Wilczek, którego zabrałem do namiotu wbrew wszelkim regułom obowiązującym w wyprawach na północ. Powinien spać na zewnątrz, w norze wykopanej w śniegu, ale w tę zimną noc, kiedy wyostrza się poczucie samotności i niebezpieczeństwa, wyjątkowo nie chciałem być sam. Steve odjechał o świcie, zabierając ze sobą wszystkie psy pociągowe, zostawiając mi tylko Wilczka, drugą strzelbę i obietnicę jutrzejszego powrotu przed wieczorem, czyli już dzisiaj...

Poranek był trochę zachmurzony. W powietrzu wirowały jeszcze samotne śnieżynki, ale opady śniegu skończyły się. Pozwoliłem psu pobiegać, załadowałem do aparatu fotograficznego nową kliszę i skierowałem go na wschód, tam, gdzie błękitniał ostry szczyt, otulony ciężkimi obłokami. Kieł Smoka. Oblodzony wierzchołek, podobny do kryształu z kilkoma głębokimi pęknięciami, ciemniejącymi na zimnych krawędziach.

Zrobiłem kilka zdjęć, gdy nagle usłyszałem za plecami dziwny dźwięk – prychanie, wyraźne i głośne. Odwróciłem się i zamarłem. Tygrys stał zupełnie blisko, rozróżnialny do ostatniego paska, i uważnie obwąchiwał namiot. Nie zwracając na mnie uwagi, obejrzał narty, wsunął głowę do namiotu i znów głośno prychnął. Szybko spojrzałem w stronę strzelby; ruch nieuświadomiony, ale w pełni uzasadniony – stała przy sągu, zbyt daleko, żeby dobiec do niej na czas. Wszystkie dawno zapomniane pierwotne strachy, o które – zdaje się – oskarżałem Steve’a, odezwały się nagle także w mojej duszy. Pacyfistyczne wyposażenie obozu, który zawsze wydawał mi się pewnym schronieniem, przekształciło się w coś przypominającego lichą dekorację złożoną z cienkich, kartonowych osłon, a zwierzę mogło przewrócić je jednym uderzeniem łapy. Miła impertynencja, z jaką upuścił w śnieg alpensztok, poraziła mnie bardziej niż jego ryk i ślady na śniegu. Wczoraj był srebrzystą zjawą, mądrym i szlachetnym gospodarzem gór, do którego włości dostałem się przypadkowo, dzisiaj przyszedł do mego domu i bezczelnie próbuje odgryźć kawałek pasa, naciągniętego w jednym z kątów namiotu. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby strzelba stała obok. Mam nadzieję, że wystrzeliłbym w powietrze i nic więcej.

Tygrys wreszcie zostawił w spokoju namiot i odwrócił się w moją stronę. Poznał mnie! Nie wiem, dlaczego tak pomyślałem, ale jego zdecydowana morda wyrażała coś w rodzaju uprzejmego zainteresowania; zbliżył się o krok i po kociemu siadł na śniegu. Prawdopodobnie było to zaproszeniem do rozmowy.

- Witam – powiedziałem cicho, zauważając mimochodem lekką chrypkę w swoim głosie. – Przyszedłeś w gošcinę, czy... na polowanie?

Tygrys nadstawił uszu, przysłuchując się, potem wstał, przestąpił z łapy na łapę, i znów siadł. Wydało mi się, że na coś czeka, i moja niedomyślność nie podoba mu się.

- Poczęstowałbym cię czymś, ale chleba prawdopodobnie nie będziesz jadł, a cały ser zjadłeś jeszcze wczoraj.

Wymagający wyraz jego oczu zmienił się w niecierpliwy, ale nadal nie rozumiałem, czego od mnie chce.

- Posłuchaj, nie przestraszysz się, jeśli cię sfotografuję? – Powoli podniosłem aparat, przyciągając nim uwagę tygrysa. – Tym oto. To nie strzelba, nie sprawi ci bólu.

Nie poruszył się, pozostając w efektownej pozie na tle namiotu.

- Patrz tu.

Nieznacznie się odsunąłem, przyklęknąłem w śniegu, żeby zwierzę całe zmieściło się w kadrze, wyregulowałem ostrość, ale właśnie w tym momencie zza sągu wyskoczył Wilczek.

Siedział, na wpół obrócony w moją stronę, i trzymał w rękach jakąś dziwną rzecz, ciemną, lekko połyskującą i wyraźnie niejadalną. Poczekąłem, aż człowiek mnie zauważy, i podszedłem bliżej. Jego oczy szeroko się otworzyły, mignął w nich jakiś dziwny, szybki dreszcz, jak zmarszczki na spokojnej

wodzie. Chyba się nie przestraszył, ale... Wciągnąłem powietrze. Nie przestraszył się. Zdziwił się, pogubił, ale swojej sztuki z rąk nie wypuścił. Trzeba było mu pokazać, że jestem syty i nie przyszedłem na polowanie, dlatego siadłem w śniegu i popatrzyłem na niego. Człowiek przemówił. Prawdopodobnie już domyślił się, po co przyszedłem. Jego głos brzmiał z małymi przerwami, ale przyjemnie dla ucha. Nie wszystko rozumiałem, chociaż słuchałem bardzo uważnie. Nie mówił nic ważnego. To się wyczuwa po intonacji. Bał się, że przyszedłem na polowanie, chociaż mu pokazałem, że jestem syty, i on powinien był wiedzieć, że nikt oprócz niego nie pomoże mi powrócić do przeszłości. Człowiek nagle podniósł swój żelazny przedmiot, przyłożył do twarzy, i wówczas zobaczyłem, że ma jeszcze jedno oko, ogromne, błyszczące, z czarną pustką na dnie. Nie spodobało mi się to i omal nie zaryczałem na niego, ale powstrzymałem się, przypominając sobie, że człowiek chce mi zwrócić dawny spokój. I nagle, nie wiadomo skąd, rycząc i krztusząc się z wściekłości, wyskoczył kosmaty pies. Człowiek krzyknął i rzucił się do niego, próbując go powstrzymać, ale ten odgryzał się i obsypał mnie wszystkimi znanymi sobie przekleństwami.

- No, ty, Pasiasty! Tylko spróbuj podejść do gospodarza!

Trzeba było dać nauczkę psu za bezczelność, ale on należał do tego człowieka i gotowy był bronić gospodarza, chociaż mogłem przyklapnąć go jedną łapą.

- Uspokój się, Kosmaty, i nigdy nie próbuj zjeść tego, co jest większe od ciebie.

- Jeszcze wczoraj poczułem twój obrzydliwy koci zapach! Zabieraj się stąd!

- Słuchaj, Kosmaty, nie zamierzam krzywdzić twojego gospodarza, nie przyszedłem na łowy, ale ty jesteś zbyt głupi, by to zrozumieć.

Kręcił się w miejscu, próbując wyrwać się z rąk człowieka i dopaść mnie, a ja patrzyłem na psa z góry i rozkoszowałem się jego bezsilną wściekłością.

- Ty pasiasty złodzieju! Gospodarz cię zastrzeli, a z twojej skóry zrobi dywan i położy go u siebie w namiocie.

- Uważaj, tylko nie zadław się złością, bo twój gospodarz zrobi dywan z twojej żalosnej skóry... jeśli tylko nie boi się pcheł.

- Gospodarzu, puść! Puść mnie! Ja mu pokażę! - zawył pies, kłapiąc zębami.

Zmarszczyłem nos, prychnąłem, wyrażając swoją pogardę, i odszedłem, a on długo jeszcze coś wykrzykiwał pod moim adresem. Głupi pies. Obejrzałem się i popatrzyłem na obóz. Człowiek obejmował go za szyję i próbował uspokoić. Niech tak będzie, przypomnę ci jeszcze „pasiastego złodzieja”...

Jaskrawość i przeźroczystość barw upodabniały ten dzień do akwareli. Nad doliną nagle rozpostarło się wysokie, o najczystszy błękit niebo. Pędziły po nim kosmate obłoki, całe góry obłoków, między którymi ślizgały się słoneczne promienie. Niespodziewanie się ociepliło i w powietrzu, nie wiadomo skąd, ujawniły się upajające, delikatne, prawie wiosenne aromaty. Śnieg stał się ciężki i ubity, lepłącą się masą osiadał pod nogami przy każdym kroku. Drzewa jakby ożyły, nagle zaszumiały oszronionymi wcześniej gałęziami. W niebie, w porywach ciepłego wiatru, krążyły ptaki.

Pół godziny temu wspiąłem się na jeden z niedużych pagórków i teraz leżałem na śniegu między dwoma głazami, przykuty do lornety. Kilka metrów niżej, wśród krzaków, jakimś niepojętym

sposobem przyklejonych do kamiennego zbocza, chował się mój nowy znajomy.

Po drugim spotkaniu w obozie widywałem go jeszcze kilkakrotnie w najbardziej niespodziewanych miejscach. Pewnego razu obserwowałem, jak ciągnął coś przez niewysokie zarośla, prawdopodobnie dopiero co schwytany obiad, innym razem, jak tarzał się po śniegu, mrucząc i prychając, jak objadał się mrożonymi jagodami z oszronionych krzaków, marszcząc się i oblizując. W ogóle się nie chował i jakby niczego się nie bał.

Zadziwiające, że Steve, łażąc po całej dolinie, tylko jeden raz znalazł ślady tygrysa, na pół zasypane śniegiem, a ja, nie myśliwy, człowiek daleki od leśnego życia, tak często widziałem zwierzę. Czasami wydawało mi się, że on specjalnie stara się wybrać takie miejsca, bym mógł go zauważyć.

Steve zieleniał z zazdrości, kiedy niby mimochodem wspominałem o każdym nowym spotkaniu. Wielokrotnie widziałem, że chce pójść ze mną, żeby zobaczyć wreszcie nieuchwytnego tygrysa, ale duma myśliwego nie pozwalała mu okazać bezradności przed mieszkańcem miasta i uznać mojego niesamowitego powodzenia.

Choćby teraz. Całkiem przypadkowo, obserwując sarny wykopujące mech spod śniegu, zauważyłem ledwie uchwytny ruch w krzakach. Tygrys leżał, prawie wcisnąwszy się w śnieg, i - posuwając się dosłownie o kilka milimetrów - czołgał się do przodu, znów zamierał, i znów poruszał się w przód. Zadziwiający obraz. Białe śnieg, na nim zgrabne, długonogie zwierzęta o czujnych, wdzięcznych ruchach i tuż obok, niewidoczne dla nich, białe zwierzę, przypadłe do ziemi. Ciemne pasy na jego skórze zlewają się z jasnoniebieskimi cieniami - potrzebny tylko jeden skok, by schwycić tę jedną, najmniejszą łanię ze złotym puszkim na czujnych uszach i wilgotnym, czarnym nosem. Żał mi jej... troszeczkę, ale moja sympatia jest po stronie pasiastego drapieżnika.

I nagle, tuż nad uchem, usłyszałem suchy, cichy prztyczek i szept:

- Cicho. Nie ruszaj się.

Obejrzałem się, od razu rozpoznając głos i opanowaną, dźwięczącą w nim niecierpliwość, zobaczyłem zimną stal strzelby skierowanej w dół, podniszczony rękaw kurtki, i wreszcie spokojną, skupioną twarz Steve'a, celującego w tygrysa znad mojego ramienia. W białego tygrysa z błękitnymi oczyma... Odwróciłem się gwałtownie, uderzając w lufę. Huk wystrzału, ryk tygrysa i mój krzyk, wielokrotnie wzmocniony echem, zabrzmiały prawie równocześnie. Kula przeszła obok i wykrzesła chłodne iskry ze skały, sarny w panicznym strachu zerwały się z rozkopanego śniegu i popędziły przed siebie. Tygrys natychmiast stał się widoczny, w kilku skokach przeciął otwartą przestrzeń i rozpląnął się wśród kamiennych brył. Steve jeszcze raz wystrzelił za nim i rzucił rozładowaną strzelbę na ziemię.

- Niech to diabli! Co, rozum straciłeś?!

Wstałem bez słowa, podniosłem lornetę i ruszyłem w dół zbocza. Steve siedł za mną i darł się na całą dolinę, potrząsając strzelbą.

- Powiedz mi, po coś to zrobił?! Wiesz, co ci się należy za takie sztuczki?! Trzeba było cię zastrzelić drugim nabojem! I każdy sąd by mnie uniewinnił! Słyszysz, obrońco zwierząt?! Po co tu przyjechałeś? Po skałach łązić? Więc łaż!

Myśliwy jeszcze długo wyliczał wszystkie krzywdy, jakie mu wyrządziłem, wliczając w to moją przyjaźń z Wilczkiem. Mógłbym wymienić dużo argumentów w swojej obronie, choćby podłe śledzenie i ten strzał znad mojego ramienia. Czułem wstręt od samego patrzenia na Steve'a, nie mówiąc już o sprzeczce z nim.

Schodziliśmy w dół po ledwie dostrzegalnej ścieżce między kamieniami, które osunęły się ze skały, gdy nagle Steve chwycił mnie za ramię i jednocześnie usłyszałem niski, dudniący ryk, dochodzący jak gdyby ze wszystkich stron równocześnie. Kilka metrów przed nami, na śniegu, zmaterializował się biały cień z płonącymi, szafirowymi oczyma. Tygrys przypadł do ziemi, przygotowując się do skoku. Uszy położył po sobie, wszystkie mięśnie kociego ciała pod gładką skórą były naprężone, w wyszczerzonej, gorącej paszczy z długimi, białymi kłami bulgotał groźny ryk. Myśleliśmy, że zbiegł, wystraszony strzałami, on jednak przyczał się wśród kamieni i czekał na nas, żeby zemścić się za nieudane polowanie.

- Szedł za nami - prawie bezgłośnie wyszeptał Steve.

- I co teraz? - zapytałem równie cicho.

- Strzelba rozładowana...

Tygrys zaryczał głośnie. Głębokie spojrzenie niehumanoidalnych oczu przeniosło się ze mnie na Steve'a i z powrotem. Byłbym gotów przysiąc, że na jego mordzie pojawił się prawie triumfalny wyraz.

Stałem przed nimi. Ten z jasnymi oczyma patrzył wprost na mnie, nie odwracając wzroku. Drugi, chodzący od dawna ze strzelbą po moich śladach, wydierał odrażający zapach śmierci i myślał tylko o tym, jak by... „Załadować strzelbę”? Nie rozumiałem, co to znaczy, ale poczułem, jak rozpaczliwie się mnie boi. Naszła mnie ochota, by natychmiast rzucić się na niego, sprawić mu ból, usłyszeć jego krzyk. Wiedziałem, że on nie da mi spokoju i nadal będzie chodzić moim tropem, póki pewnego razu nie usłyszę tego strasznego grzmotu, który dzisiaj omal mnie nie ogłuszył. Popatrzyłem na człowieka z jasnymi oczyma. On nigdy nie przyczynił mi bólu, jego także bronił kosmaty pies, i teraz ten drugi chował się za jego plecami. Zaryczałem, ponieważ zrozumiałem, że nie będę mógł zabić niebezpiecznego człowieka ze strzelbą, bo w obecności jasnoookiego w ogóle nie wolno zabijać.

Jeszcze długo patrzyłem, jak schodzą w dół i czułem jakąś dziwną tęsknotę, niepokój. Ogromny niepokój. Chciałem biec za człowiekiem, który tak mnie niepokoił, i jednocześnie uciec od niego jak najdalej. Zrobiłem kilka kroków i zatrzymałem się, ponieważ nie mogłem iść za nimi. Znowu się rozdzieliłem. Jedna część mojej duszy tęskniła za gorzkim zapachem dymu i ostrego żelaza, druga śmiertelnie bała się ich i nienawidziła. Prawdopodobnie czułem się tak dlatego, że byłem głodny. Ale głód nie mijał, nawet kiedy byłem syty.

Siedziałem w śniegu obok zamarzającego jeziora i patrzyłem w niebo. Księżyc znowu zgubił swoją drugą połowę, zupełnie jak ja... I teraz płynął niebem z ostrym, ułamanym brzegiem, jaskrawy i zimny. Taki sam księżyc wypłynął z czarnej wody jeziora i kiedy zacząłem pić, wydało mi się, że razem z wodą na język trafiają zimne, księżycowe krople. Zamknąłem oczy, żeby nie widzieć księżycy, ale nadal czułem smak - cierpki i lekko gorzkawy, jak niedojrzałej jagody.

Przez sen słyszałem zwykły poranny szum: skrzyp śniegu, groźne okrzyki Steve'a na psy gryzące się o ryby, trzaskanie ogniska i daleki, jednostajny szum wiatru. „Dzisiaj”, pomyślałem, budząc się ostatecznie.

Wychodząc z namiotu, zobaczyłem niebo. Najpierw tylko niebo. W połowie było różowe. Błada nocna mgła nad głową stopniowo jaśniała i spotykała się z delikatnie różową poświatą na wschodzie. Łączyły się nad doliną, ale nie mieszały się ze sobą, nie przelewały jedna w drugą, a trwały dwoma nieruchomymi pasami - szaro-perłowym i perłowo-różowym. Przyszedł mi na myśl flaming, całe

stado różowych flamingów.

Bezszelestnie podszedł Steve. Nie rozmawialiśmy przez cały wczorajszy dzień, moglibyśmy milczeć i dzisiaj, mnie to wcale nie przeszkadzało, ale Steve nagle jakoś niezręcznie kaszlnął i zapytał:

- Zachwycasz się?

- Tak. Zdziwiające niebo.

Milczeliśmy z różnych przyczyn. Ja, po wczorajszych strzałach zza moich pleców, nie miałem z nim o czym rozmawiać. Steve próbował zrozumieć, dlaczego tygrys nas nie zaatakował.

- No jak? Idziesz dzisiaj?

- Idę.

Popatrzyłem na górę. Jej szczyt powoli wynurzał się z ciemności i gęsty nocny cień, także powoli, zwił się do podnóża, cofając się przed porannym słońcem. Steve podążył za moim spojrzeniem i jeszcze raz zapytał:

- To co, na sam szczyt?

- Zobaczę na miejscu.

Chwilę jeszcze stał obok i odszedł. Widziałem, że brakuje mu naszych długich rozmów i „naukowych” sporów. Chciał przywrócić dawne przyjacielskie stosunki, które zachwiały się, jak mu się wydawało, z powodu drobiazgu. A ja nie mogłem wybaczyć mu tego, że za drobiazg uważa białego tygrysa.

Odprowadził mnie na skraj doliny. A potem już nie myślałem ani o tygrysie, ani o Steve’ie i jego urazach. Czułem, jak ogarnia mnie dziwny stan głębokiego, wewnętrznego skupienia i radości, który zadzwonił we mnie z pierwszym uderzeniem czekana.

Nie śpiesząc się, bez zbytecznej krzątany, po stromym zboczu wspinałem się „na trzy takty”. Wetknąć czekan, i trzymając się go, „wbić” w śnieg najpierw jedną nogę, potem drugą, wyciągnąć stalowe ostrze, i znów uderzyć. Stopniowo wpadłem w ten równy rytm, z którym zlewały się mój oddech i bicie serca. W takich warunkach niewiele można przejść. Gładki lód, przykryty cienką warstwą białego puchu, poskrzypywał pod rakami takim znajomym, zwykłym dźwiękiem. Dostałem się na wąski, oblodzony gzyms.

Stąd, z dużej wysokości, dolina była podobna do głębokiej czaszy, po brzegi wypełnionej stężalym srebrem; zamarły w nim ciemne plamy drzew, metaliczne odbłaski zamarzniętego jeziora, faliste pagórki rzucające długie cienie. I tylko wiatr pogwizdywał w śnieżnym milczeniu zimnego dnia.

Można było wspinać się wyżej, ale nagle, z boku, niedaleko miejsca, gdzie stałem, zauważyłem... coś. Coś takiego, czego nie powinno tam być. Przeszedłem kilka kroków po gzymsie i nachyliłem się, żeby lepiej się przypatrzeć. W pierwszej chwili wydało mi się, że z lodu patrzy czarna twarz z pustymi, białymi oczodołami i białą wyrwą ust. Drgnąłem, czując, jak gwałtownie skurczyło mi się serce, i natychmiast roześmiałem się z ulgą. Maski! Tylko maska osłaniająca przed wiatrem. W jednej z moich kieszeni leżała taka sama. Ktoś ją zgubił... Ktoś, kto był tu przede mną.

Nagle wydało mi się, że mojej potylicy dotknął powiew lodowatego wiatru. Obejrzałem się, ale zobaczyłem tylko śnieżne wały, strome urwisko z prawej strony, stopnie wyrąbane przeze mnie... i maskę wmarzniętą w śnieg.

Gwałtownie się wyprostowałem, cofnąłem, a potem... Potem zrozumiałem, że ześlizguję się i nie mogę się zatrzymać. Wcześniej czy później mogło się to zdarzyć, ale nie sądziłem, że tak szybko... Odpadłem.

To było jak we śnie, kiedy zatrzymuje się serce, gwizdze wiatr, ciało kamienieje od narastającego ciężaru i nigdy nie dolatujesz do dna.

W głębokiej ciemności były chłód i ból, jeszcze tylko podkradające się skądś, z daleka, ale natychmiast zapragnąłem wrócić do głuchej nieprzytomności. Odpadłem jak ten, który był tu przede mną. Teraz już nie trzeba się oszukiwać. On też wpadł w jakąś głęboką szczelinę, ukrytą pod śniegiem. Zrzuciła go z wysokości burza albo pękła mu lina, a może złamał się karabińczyk... I on leżał podobnie jak ja, czując swoje rozbite ciało, i powoli zamarzał.

Nie wiem, ile minęło czasu, ale nagle oprócz chłodu i bólu pojawiło się jeszcze coś. Głośnie sapanie, gorący oddech dotykający mojej twarzy i uparte potrząsanie za ramię. Otworzyłem oczy.

W bladoniebieskim, rozproszonym świetle, przenikającym, wydawałoby się, przez grubą warstwę lodu, pochylała się nade mną ludzka twarz, w tym lodowatym świetle blada, jakby zamarznięta, i tylko jasnobłękitne oczy iskrzyły się niepokojem.

- To twoja... maska? - wyszeptałem i wszystko popłynęło w nowej fali bólu, a kiedy mój wzrok znów się wyostrzył, zobaczyłem tygrysią mordę. Gorący oddech białymi obłoczkami wyrывał się z otwartej paszczy. Sierść obsypana zmarzniętymi kryształkami śniegu. Tygrys obwąchał mnie uważnie, potem ostrożnie złapał zębami kołnierz kurtki i pociągnął. Ostry ból skurczem przeszył całe ciało, krzyknąłem, a on mnie puścił.

- Nie... Nie trzeba... Zbyt boli.

Owiał moją twarz swoim oddechem, prawdopodobnie wyrażając w ten sposób współczucie, i znów chwycił zębami za kołnierz.

Podczas krótkich przeblysków świadomości dostrzegałem młodzieńca, który, pół niosąc, pół ciągnąc, uwalniał mnie z lodowej szczeliny. W gęstej mgle rozróżniałem jego napiętą twarz, jasne włosy, mocno zaciśnięte usta.

- To ty... rozbiłeś się tutaj?

Milczał, a ja znów widziałem tygrysa.

Kiedy wynurzyłem się z kolejnej nieprzytomności, dziwne odrętwienie zmiękczyło ból. Tygrys ciągnął mnie po śniegu, nie zatrzymując się, jakby moje ciało nic nie ważyło. Wydawało mi się, że płynę, miękko i lekko kołysząc się w objęciach ciepłego snu, gdzie mieszały się ze sobą przytłumione światło lodowatego wąwozu, śnieg, niebieskooki tygrys-wilkołak... Zrobiło mi się cieplej. Zamknąłem oczy tylko na chwilę, i nagle bolesny policzek rozbudził mnie. I znów wrócił ból.

- Nie śpij!... Nie zasypiaj! Słyszysz?!

Jeszcze jeden policzek. Z trudem uniosłem powieki i znów zobaczyłem bladą twarz z płonącymi oczyma.

- Zostaw mnie... Zmęczyłem się.

Alpinista chwycił mnie za kołnierz i potrząsnął, niezbyt mocno, ale tak, żebym poczuł, że nie zostawi mnie w spokoju.

- Nie próbuj zasypiać! Nie śpij! - jego głos dobiegał z daleka. - Paul, nie śpij.

- Znasz moje imię? - szepnąłem.

- Znam, tylko nie śpij.

- Nie mogę - wyszeptąłem, spadając gdzieś.

- Paul! Paul, słyszysz mnie?!

Nie było chłodu, prawie nie było bólu, spod opuszczonych powiek widziałem błękitny pas nieba w wąskiej szczelinie zaciągniętego płótna. I Steve'a, zaniepokojonego i zarośniętego mocniej niż zwykle.

- Steve, ja...

- Żyjesz. I wreszcie się ocknąłeś.

- Jak... Gdzie mnie znalazłeś?

- Niedaleko obozu. Nocą. Psy podniosły alarm, wyszedłem, patrzę, a ty... Nie wyobrażam sobie, jak ci się udało dotrzeć aż tutaj.

- Spadłem... Urwałem się, a on mnie uratował.

- Kto?

- Nieżyjący alpinista... tygrys.

Steve zamrugał, potem ostrożnie dotknął mego czoła.

- Masz nogę złamaną w dwóch miejscach. Niedługo tu przybędą... ogólnie założyłem szynę, zabandażowałem, ale musisz iść do szpitala.

Udało mi się unieść na tyle, by spojrzeć mu w twarz.

- Kto tu przyjedzie?

Milczał, a potem spojrzał na mnie spokojnie i zimno. Nie poznawałem go. Ten człowiek nie mógł być moim dobrym przyjacielem, trochę niezgrabnym, sympatycznym Steve'em. Skąd w nim tyle obojętnego okrucieństwa i chłodu? Tego przekłętego chłodu!

- Kto przyjedzie, Steve?

- Myśliwi, psy. Wiele psów i strzelb. Obława.

Powoli opuściłem się na skóry, patrząc na niego prawie z przerażeniem.

- Nie, Steve. Nie. Nie możecie go zabić. Nie rozumiecie! Nie wiecie! On mnie uratował, wyciągnął z lodowej szczeliny. To nawet nie tygrys!

- Paul, spadłeś. Uderzyłeś głową, długo leżałeś bez świadomości.
- Steve, widziałem go! Zabijając tygrysa, zabijecie człowieka!

Wstał i - patrząc na mnie z góry - powiedział:

- Daj spokój Odpoczywaj i przestań się niepokoić. Nie możesz się denerwować.

I wyszedł z namiotu.

Cały ranek prześladowało mnie psie szczekanie. Najpierw nie zwracałem na nie uwagi, zbyt zajęty rybą, dopiero co wyłowioną z jeziora. Zbyt długo czekałem, aż podpłył bliżej brzegu, by zostawić ją niezjedzoną, nawet jej nie spróbowałem. Ale ostre, urywane dźwięki zbliżały się od północnej strony i zaczynały rozbrzmiewać coraz głośniejsze i bardziej dokuczliwe. Wtedy przeszedłem kawałek wzdłuż jeziora i skierowałem się w stronę gór. Psie głosy nadal przekrzykiwały się z wrzaskliwą ostrością: „Doganiaj!... Szybciej do sosny... Szybciej!” Od pewnego momentu szczekanie doprowadzało mnie do wściekłości. Ryknąłem na prześladowców, niezbyt głośno, i pobiegłem. Gdzie są psy, tam i ludzie. Pomknąłem po śniegu długimi skokami i biegłem tak szybko, że wyprzedziłem własny zapach i ostre głosy. Znowu zrobiło się cicho. Wskoczywszy na powalone drzewo, nasłuchiwałem. W koronach sosen szumiał wiatr, z rzadka słyszało się głuchoe kłapięcie spadających grud śniegu i terkot srok. Więcej nic. Nagle zachciało mi się spać, dlatego posłuchałem jeszcze trochę, zeskoczyłem z drzewa i po niedługich poszukiwaniach znalazłem wśród krzaków dobre miejsce na odpoczynek. Póki ci kosmaci, wysunąwszy języki, płaczą się po moich starych śladach, zdążę się wypaść.

Niewyraźny sen już pływał dokoła mnie, jak niedawno wielka ryba w jeziorze, miękko i lekko kołyszając się w ciemnej głębi, kiedy w pobliżu znowu dało słyszeć się dawne: „Doganiaj!... Doganiaj!” Jeszcze we śnie poczułem, jak sierść na dolnej części grzywy stanęła mi dęba, i obudziłem się z głuchym rykiem. Z żalem podniosłem się ze swojego dobrego miejsca i - przemykając wzdłuż krzaków - ruszyłem równolegle do psiego szczekania. Zachęcając się wzajemnie, krztusząc się złością, sfora zbliżała się zza drzew. Mógłbym wodzić ją za sobą do wieczora, tylko śnieg w lesie był dla mnie zbyt głęboki.

Zatoczywszy wielki krąg, znowu pobiegłem, i teraz psie krzyki dobiegały z przodu. Tych oszukać było łatwo, ale gdzie ich właściciele? Bezszelestnie skradałem się pod gęstym poszyciem, od czasu do czasu zatrzymując się i nasłuchując.

Szli przede mną, w odległości jednego skoku, i porozumiewali się po cichu. Kilko ludzi ze strzelbami.

- A ile może kosztować jego skóra?
- Z półtora tysiąca...
- Steve mówił, że jest przebiegły, prawie jak człowiek.
- Będzie dziesiątym i mam nadzieję, nie ostatnim.
- A ty trzymaj strzelbę mocniej, bo może wyskoczyć zza tego krzaka!

Łatwa zdobycz. Hałasują i pachną żelazem na cały las. A może też mam zapolować?

Pozwoliłem ludziom iść dalej, po moich już ostygłych śladach, i ruszyłem głębiej w las, mając nadzieję, że zostaną w tyle. Głęboki śnieg spowalniał bieg psów, tak jak i mój, i męczył je nie mniej niż mnie. Tylko nie Kosmatego! Poznałem go po głosie. Jak wściekły pędził moim śladem, rozplątując wszystkie „pętle”. Sprzykrzyło mi się to.

Zatrzymałem się na polanie i postanowiłem poczekać. Jakie delikatne dzisiaj słońce! Prawie wiosenne. Przesząpiłem z łapy na łapę i oprócz gryzącego rozdrażnienia, nie wiadomo dlaczego, poczułem głęboki smutek, i znów chłodek podniósł sierść na dolnej części grzywy.

Sfora wyskoczyła wprost na mnie. Parę psów, krztuszających się zajadłym szczekaniem. Jeden z nich nie potrafił się zatrzymać. Uderzeniem łapy z wysuniętymi pazurami odtrąciłem go i rzuciłem się na pozostałe. Rozbiegły się z piskiem. A tak chciałem przygłuszyć ich obrzydliwe głosy! Ale kosmate dranie nie podbiegły bliżej, znając już długość moich pazurów. Pierwszy pies nadal leżał i śnieg dookoła stał się czerwony. Z mojego dawnego smutku nie pozostało nic, rozdrażnienie zaś przekształciło się w głuchą wściekłość. I nagle zza drzew zagrzmiął strzał. Bok oparzyło, ale w swojej wściekłości nie poczułem bólu. Odwróciłem się i skoczyłem. Człowiek krzyknął, upuścił strzelbę, która zachrzęściła pod moimi łapami, i upadł w śnieg. Przycisnąwszy go do ziemi, dźgnąłem pazurami, a on znów krzyknął. I tyle przerażenia było w tym krzyku, takie nieprzyjemnie miękkie okazało się jego ciało pod moimi łapami, że ze wstrętem odskoczyłem i uciekłem stamtąd.

Bok bolał, po sierści płynęła strużka krwi i kapiała w śnieg dużymi kroplami. Za mną z tych kropel tworzyła się purpurowa ścieżka, a powietrze pachniało moją krwią. Biegłem coraz wolniej, dusząc się zmęczeniem i bólem. W głowie szumiało. Mały kawałeczek żelaza w moim ciele czynił mnie kulawym i bezradnym. Gdyby tak można było schować się pod te kamienie, położyć się i usnąć. Usnąć... Jeśli zatrzymam się, dogonią mnie i zabiją, więc zmuszałem się do biegu. W gardle paliło, język stał się suchy i gorący. Zatrzymywałem się na chwilę, by wylizać ranę, i pędziłem dalej. Powietrze dzwoniło psim szczekaniem i krzykami ludzi. Kiedy zatrzymywałem się, pod łapę naciekała cała kałużka krwi. Patrzyłem na nią z pewną ciekawością, wiedząc, że razem z nią opuszczają mnie siły.

Kosmaty wyskoczył skądś z boku i zamarł, wyszczerzywszy białe kły. Teraz staliśmy naprzeciw. On – spokojny, silny, nawet niezdyszany, i ja – rozdrażniony, spływający krwią.

– Nareszcie wpadłeś.

– Zejdź z drogi!

Wciągnął powietrze, pachnące moją krwią, i zaryczał.

– Co, boli?

– Nie bardziej, niż ciebie będzie za chwilę.

Rzucił się w bok, wyjąc z bólu. Zdążyłem go dosięgnąć, ale nie zatrzymałem się, by popatrzeć, co z nim.

Teraz wiedziałem już, dokąd powinienem biec. Do kogo.

Leżałem na saniach przykrytych skórą i czekałem. Głęboka, tajemnicza cisza wspaniałej doliny została rozorana dźwięcznym szczekaniem, głosami ludzi i wystrzałami.

Było ich pięciu, nie licząc Steve’a. Pewnych siebie, doskonale uzbrojonych ludzi. Znienawidziłem ich natychmiast, chociaż prawdopodobnie byli prawdziwymi myśliwymi, znającymi wszystkie reguły sezonu łowieckiego. Nie zabijali saren z młodymi i nie urządzali tego barbarzyństwa ze strzelaniem z

samochodów. Ale mnie, ogłuszonemu tabletkami znieczulającymi, w półśnie, półmajaczeniu, znów przywidywał się niebieskooki wilkołak, tygrys z ludzką duszą. Przychodził do mnie, by prosić o pomoc, bo wiedział, że tylko ja mógłbym go zrozumieć, poczuć... Ale nie rozumiałem. Zrozumiałem zbyt późno i teraz oni go zabijają.

- Co on bredzi?

- Tak. Upadł i według mnie, uszkodził głowę. Słuchajcie chłopaki, kiedy przywieziemy skórę, nie pokazujcie mu i nic nie mówcie.

- Steve, czemu się tak o niego troszczysz?

- Żal chłopaka, będzie przeżywać, a u niego i tak z głową nie wszystko w porządku.

- Mówiłem! Nie trzeba było ciągnąć tu mieszcucha!

Oni go zabijają. Cóż, być może wtedy się uspokoi. Prawdopodobnie chciał właśnie spokoju. Zostawić na zawsze ten śnieg, góry, jezioro...

Przysłuchując się, uniosłem się na łokciach. Psy jakby przycichły. Być może zgubiły trop? A może on poszedł w swoje góry? Schował się? Ogromna czasza doliny wydała mi się nagle malutka jak spodek. Nie, tu nie ma gdzie się schować. Znajdą go... A i on nie będzie się ukrywał.

Szczekanie zabrzmiało głośniejsze. Wyraźnie słyszałem dzwięczny, złośliwy głos Wilczka. A potem strzał. Donośne echo zadrżało między górami, rozkrzyczały się sroki. Już po wszystkim. Opadłem na sanie, znów czując nużący ból w nogach i - nie wiadomo dlaczego - w dłoni. Nie zauważyłem, że zaciskam pięść i paznokcie wbijają mi się w skórę.

Ale psy podjęły szczekanie. Jeszcze jeden strzał. Znów uniosłem się na łokciu i zobaczyłem! Jego wspaniała, biała sierść była zabrudzona krwią, długie skoki po głębokim śniegu wydawały się niepewne, nierówne, ale tygrys pędził, nie zatrzymując się. Był coraz bliżej. A za nim rozciągnął się łańcuszek biegnących psów i bez pośpiechu zbliżali się ludzie ze strzelbami. Wiedzieli, że już im nie uciekną.

Uchwyciłem się brzegu sań, podnosząc się jeszcze wyżej, i zacząłem krzyczeć. Zobaczył, usłyszał, i gwałtownie zmienił kierunek. Teraz biegł do mnie. Widziałem, jak jeden z myśliwych powoli uniósł strzelbę, wycelował... Tygrys potknął się jeszcze raz, ale upadł dopiero wtedy, gdy dobiegł do sań. Runął w śnieg i podpełzł ostatkiem sił, z cichym... prawie jękiem. Błękitne oczy były zamglone bólem i... łzami? Zakrwawiona mordka dotknęła mojej ręki. Objąłem go za szyję, przytuliłem się policzkiem do mokrej sierści.

- Nie zabijają cię. Słyszysz? Nie zabijają...

Suchy prztyczek zabrzmiał tuż obok. Podniosłem głowę i zobaczyłem ryczące psy, czerwony śnieg, czarne lufy strzelb. I myśliwych. Patrzyli na mnie. Patrzyli, jak obejmuję ranne zwierzę, przyciskam do piersi jego ogromną głowę, a jego krew płynie po moich palcach. Napotkałem spojrzenie Steve'a. Długo patrzył mi oczy i opuścił strzelbę. Po chwili, powoli, opuściły się lufy pozostałych.

Czułem jego ręce na swojej głowie, słyszałem, jak bije jego serce. I już nie czułem bólu. Wiedziałem, że zasypiam na długo, ale nie bałem się tego snu. Więcej już nie będzie w nim śniegu i chłodu. Usnę i obudzę się kimś innym... zupełnie innym.

Tłumaczenie: [Tadeusz Rubnikowicz](#)

Jelena Byczkova i Natalia Turczaninowa - nierozłączny tandem

Jelena Byczkova

Urodziła się w Moskwie 21 sierpnia 1976 roku. Po ukończeniu nauki w klasie o profilu literackim szkoły średniej podjęła studia na Moskiewskim Uniwersytecie Państwowym im. Łomonosowa, na Wydziale Dziennikarstwa. Obroniła dyplom na katedrze dziennikarstwa zagranicznego i literatury. Ukończyła też studia doktoranckie.

Specjalizuje się w gatunku fantasy. Laureatka sześciu nagród literackich. Od zawsze tworzy w spółce z Natalią Turczaninową.

Od 25 września 2004 roku jest żoną pisarza Aleksieja Piechowa.

Jelena Byczkova o sobie:

„Nigdy nie marzyłam o ścisłym związku z literaturą - po prostu zajmowałam się tym, co lubię, nie licząc na nic specjalnego.

Od czasów szkolnych, wspólnie z Natalią [Turczaninową - przyp. red.], pisałyśmy fantastykę. Pierwsze opowiadanie, które zdecydowałyśmy się poddać pod osąd czytelników, opublikowało czasopismo internetowe młodych pisarzy Rosji „Prolog” (finansowane przez Moskiewski Związek Pisarzy, z funduszu społeczno-ekonomicznych i intelektualnych programów Ministerstwa Kultury i Informacji).

Opowiadanie „Śnieżny tygrys” zaowocowało nie tylko znaczącą publikacją i porażającą naszą wyobraźnię graficzną pracą malarza, ale i istotnym honorarium w studenckich czasach permanentnego braku pieniędzy.

Na pomysł pisanego urban fantasy wpadłyśmy w 2000 roku. Ale, niestety, Wydawnictwo EKSMO odrzucało opowiadania z opinią: „Bardzo ciekawe, oryginalne, napisane po mistrzowsku, jednakże - gatunek niestandardowy, podobna kategoria czytelników nie interesuje. Książek tego gatunku nie wydajemy”.

Z tego powodu trzeba było pożegnać się z pisarstwem - i wrócić do pracy dziennikarskiej i redaktorskiej. Oczywiście, nie porzucając literatury, lecz zajmując się nią równolegle.

Tematem wiodącym mojego doktoratu było „Angielskie dziennikarstwo literackie z końca XIX wieku”. Broniałam referatów, pisałam referaty, zaliczyłam minimum egzaminów, ale pracy doktorskiej nie obroniłam, ponieważ musiałam dokonać wyboru między obroną a wcieleniem w życie podstawowego celu - pisanie książek.

Dopiero w roku 2003 udało się nam chwycić szczęście za nogi. Wydawnictwo „Armada Alfa-książka” zawarło z nami [autorka ma na myśli siebie i Natalię Turczaninową - przyp. red.] umowę i w lutym 2004 roku została opublikowana pierwsza powieść - „Rubin Karaszechra”.

A z początkiem 2006 roku pojawiła się możliwość poświęcenia całego swego czasu - tylko książkom,

książkom, książkom... Nareszcie!"

Natalia Turczaninowa

Urodziła się 18 maja 1976 roku w Moskwie. Psycholog dziecięcy. Po ukończeniu studiów, z czerwonym dyplomem, specjalizuje się w pracy z przedszkolakami opóźnionymi w rozwoju z powodu nieodpowiedniej sytuacji psychologicznej w rodzinie, a także z dziećmi mającymi trudności w kontaktach międzyludzkich.

Dyplomowana instruktorka aerobiku sportowego.

Autorka powieści z gatunku fantasy i urban fantasy. Tworzy w spółce z Jeleną Byczkową.

Laureatka sześciu nagród literackich.

Natalia Turczaninowa o sobie:

„Jedno z moich najwcześniejszych i najbardziej jaskrawych odczuć związanych z literaturą to powieści i opowiadania Raya Bradbury`ego, które tak mną wstrząsnęły, że całkowicie wywróciły poglądy na sens życia.

Od tamtej pory pragnienie budowania otaczającego świata jedynie przy użyciu słów rozmieszczonych w pewnym porządku na kartce papieru – stało się głównym celem...

Prawdopodobnie niepoślednią przyczyną tego, że się udało, było uczęszczanie do klasy o profilu literackim, gdzie dane mi było spotkać się z tak samo „opętaną twórczością” - bratnią duszą i... przyszłą współautorką.

Pierwsza powieść fantastyczna - „Broń absolutna” - zapoczątkowana została przez nas jeszcze w dziewiątej klasie. Jednakże przygodom w kosmosie w stylu Gwiezdnych wojen nie dane było zaistnieć - zeszyt zaginął. Ale taki drobiazg, oczywiście, nie mógł zatrzymać ludzi, którzy wierzą w swoje powołanie. I zaczęła się nielekka praca. Nad stylem. Nad językiem utworów. Nad fabułą i charakterami bohaterów... Nad małymi światami, które powinny stać się na tyle harmonijne, by żyć niezależnie w świadomości czytelników.

Ta praca trwa do dzisiejszego dnia.

W 2004 roku została opublikowana powieść z gatunku fantasy „Rubin Karaszechra”, łącząca w sobie chrześcijańską kulturę z anturażem średniowiecza i pewnymi filozoficznymi zasadami Agni-Jogi.

W tym samym 2004 roku jej dalszy ciąg - „Zakładnicy światła”. Akcja powieści toczy się w świecie związanym z kulturą dawnej Grecji i Rzymu, a także tyraniami tego ostatniego.

W 2005 roku, po sześciu latach przygotowań, ukazała się powieść z gatunku urban fantasy - „Kindret. Bracia krwi” (współautorstwo z Aleksiejem Piechowem).

Na początku 2007 roku, powieścią „Promienny”, zakończyliśmy trylogię „Rubinu”.

Pisanie fantastyki było zawsze nie tylko moim marzeniem, ale, praktycznie, sensem życia. Dlatego inna droga dla mnie nie istniała...”.